TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II Nr. 6 151 East 67 Street, New York, N.Y. 5.II.1942

Stara bibuła.

Janowi Lechoniowi.

W jednym ze starych kajetów, które wlokę ze sobą w tej smutnej tułaczce przez lądy i morza, leży zużyta, niezdała, wielu atramentami przesiąknięta, gęstą bazgraniną nasycona - bibuła. Cierpliwie wzięła w siebie niejedną myśl przekreśloną, niejedną myśl poronioną, pokornie wchłonęła w swój negatyw niejeden "wzlot" młodej duszy, o której mi dziś uwierzyć trudno, iż niegdyś była - moją.

Czemuż w tych czasach wielkiej grozy, gdy świat się wali, gdy płoną już nietylko lasy, ale całe kamienne metropolje, wspominam starą bibułę? Rupieć, którego nie mam serca - spalić?

Każda miłość własna lubuje się w pamiątkach, choćby i najbłahszych, jeśli zawierają ślad dawnego życia, jeżeli przechowują cząstkę minionej poufałości. Ale ta bibuła nie jest tylko pamiątką po dawnem życiu człowieka, który nią suszył swą pisaninę. Ten człowiek nigdy nie kochał się w sobie, mimo iż po dziś dzień podziwia obie wersje "Narcyza" Pawła Valéry. W tej bibule przechowuje on raczej żywe, aż boleśnie żywe wspomnienie pierwszej wizyty w pewnem mieście, które dla ludzi pewnego typu, jest czemś więcej niż pięknem i starem miastem. W tej bibule jakgdyby zagnieździł się przed wielu laty - i rzekłbyś - po dziś dzień siedzi ów jedyny zapach pewnej dzielnicy w owem mieście, dzielnicy wyjątkowo skondensowanej i urodą architektury i skupieniem wielkich nasileń historji, legend i prawd, oraz zakładów, w których te prawdy były głoszne. Nie będzie grubą przesadą, a w każdym razie nie o wiele grubszą od tej bibuły, gdy powiem, iż skupia ona dla mnie wspomnienie nietylko tego miasta i tej dzielnicy, tego placu i tych gmachów, ale wszystkiego, co mi raczyło się objawić wówczas, gdy ją kupowałem razem z kajetem. Niech ona sama powie, co ją czyni godną tego wspomnienia. To - wydrukowana na niej nazwa firmy i adres i niejako stempel czasu. U góry czytamy: Rentrée des classes, Octobre 1928. A wpoprzek, przez całą ćwiartkę bibuły: PAPETERIE du PANTHEON, 9, rue Soufflot, PARIS/5e/. Tak jest, ten zeszyt z bibułą kupiłem w połowie października 1928 r., w kilka dni po pierwszym w życiu przyjeździe do Paryża. Kupiłem w tym zaczarowanym punkcie cywilizowanego świata, zwanym: Górą św. Genowefy, La Montagne St. Geneviève. /Duhamel ci się kłania/. Mieszkałem wówczas obok, na placu

Panteonu, w hoteliku o rozczulająco pretensjonalnej nazwie: "des grands hommes". Jako przeciwwaga tych hotelowych nieśmiertelności, jako przypomnienie iż droga do wiecznej chwały wiedzie poprzez śmierć, na parterze hotelu mieścił się zakład pogrzebowy. Jednakże stojąc w oknie mojego pokoiku na trzeciem piętrze, nie widziałem trumien w oknie wystawowym tego zakładu. Widziałem tylko wspaniałe, klasyczne schody Panteonu,które zdawały się prowadzić nie do grobowych przybytków wielkich duchów Francji, którym ona tutaj gwarantowała nieśmiertelność, lecz do samych żywych krynic francuskiego piękna, francuskiej mądrości i francuskiej cnoty. Jeszcze dziś bije stare serce na wspomnienie owych październikowych dni pięknego roku 1928, owej liljowej mgły jesiennej, w której uczniowie szkoły St. Barbe wracali z wakacji na nowy rok szkolny, a ja, łysy już nieco sztubak, zaczynałem stawiać pierwsze kroki w nauce francuskiej kultury. Pod moimi oknami stał pomnik Jana Jakóba Rousseau. Nigdy nie byłem wielbicielem tego genjalnego ekshibicjonisty i pragnąłem raczej żeby się zamienił z swoim brązowym kolegą po drugiej stronie Panteonu, z Corneille'm. Tak, w owym czasie, gdy moja bibuła była jeszcze dziewiczo czysta, sam czułem się jak szczęśliwa oblubienica w dniu zaślubin. Bo też rozpoczynały się wówczas moje miodowe lata, lata upojeń francuską mową, francuską myślą, francuskiemi czarami.

Walery Briusow nazwał wspomnienie - skrzydlatym demonem. Wiele takich demonów bije skrzydłami w nasze wygnańcze noce: temu demon wyfruwa z fotografji, tamtemu z książki, innemu z ryciny, a - mnie ze starej bibuły, kupionej tam, gdzie "aux grands hommes" ofiarowuje groby " la patrie reconnaissante". Nostalgiczne dreszcze budzi to wspomnienie ulicy Soufflot i kolumn Panteonu i wszystkiego co się z niemi kojarzy, a co - daj święta Genowefo!- niechaj jeszcze wróci.

Chociaż - już nigdy w Paryżu nie będę pierwszy raz.

Józef Wittlin

Który Hitler jest prawdziwy?
/Rozdział z niewydanej książki "Niema trzeciej drogi"/
/Dokończenie/

W czasie wojny zetknąłem się w Paryżu z jednym z wybitnych przedstawicieli anty-hitlerowskiej organizacji niemieckiej. Rozmowa zeszła na tych pretorjanów III Rzeszy.

-I ja nie wiem - mówił mój rozmówca - wielu ich jest. Hitler moralnie zniszczył całą młodzież niemiecką. Ten miljon czy dwa miljony niedouczonych ludzi, którym z korzeniami wyrwano z duszy zdolność rozróżnienia zła i dobra, to straszna groźba dla przyszłych Niemiec. Co robić z nimi skoro już nigdy nie będą zdolni do spokojnego życia w uporządkowanych warunkach? Ja widzę tylko jedno wyjście, wysłać jako armję zdobywczą przeciw komunistycznej Rosji...

To są drugie Niemcy.

Wreszcie trzecie.

Mierzwa, bezkształtna masa, uległa skomplikowanemu systemowi gwałtu, teroru i rozkazodawstwa. Dziś hitlerowcy, jutro pacyfiści, pojutrze demokraci, ale zawsze ujęci w karby teroru, lub przemyślną organizację propagandy, która najpoczciwszych profesorów czy dobrodusznych wieśniaków gotowa jest zmienić w żołnierzy hitlerowskiej rewolucji świata. Jak się odbywa ten zdawałoby się wprost niepojęty proces przekształcania poczciwego i sentymentalnego drobnomieszczanina czy wieśniaka niemieckiego w pozbawionego wszelkich skrupułów moralnych żołnierza rewolucji hitlerowskiej?

W Niemczech wszystko jest zorganizowane i poszufladkowane.Nawet

dusza człowieka. W jednej szufladce schowane są cechy i właściwości prywatnego życia Niemca. Ale obok jest druga szufladka z naklejonym napisem obowiązki narodowe. Każda z tych dziedzin ma zupełnie odrębny klimat psychiczny i zupełnie różną etykę. Przestawienie toru z życia prywatnego, na którym obowiązują pewne normy etyczne na obowiązek narodowy poza granicami dobra i zła, odbywa się automatycznie. Po wysłuchaniu koncertu Haydna w atmosferze sentymentalno-bogobojnego życia rodzinnego, Niemiec jest gotów w każdej chwili popełnić największą zbrodnię i podłość, jeśli tego wymaga obowiązek, misja czy rozkaz Fuehrera.

A poza tymi trzema pokładami na uboczu czasu, niezmiennie wciąż zmieniających się kolejach rządów i ustrojów, trwają ożywione duchem Fryderyka i Bismarcka - Niemcy Reichswery, Niemcy z zimną precyzją wykalkulowanych planów zaborczych, wciąż jednacy rzemieślnicy i realizatorzy wizjonerskich zamierzeń Ottonów, Karolów, Fryderyków, Bismarcków, Hitlerów.

Nie ma więc jednolitego znaku duszy niemieckiej. Marsz Niemiec hitlerowskich odbywa się i odbywać się będzie po drogach których z góry nie sposób wyznaczyć ani wytyczyć. Nie rządzą nimi żadne prawa ideologiczne ani nawet taktyczne.

Za wyjątkiem chyba jednego.

Wbrew pozorom i wbrew powszechnie panującym poglądom, taktyka Hitlera zdąża zawsze po...linji najmniejszego oporu. Cofa się natychmiast gdy próba materjału nie wykaże dostatecznego stopnia kruchości, lub miękkości. I wtedy zmienia błyskawicznie kierunek.

To właśnie jest istotą taktyki Hitlera, że nigdy nie liczy się z tak zwaną linją i jak rękawiczki potrafi zmieniać zasady i kierunek marszu. Dzięki tej taktyce zaskakuje swe ofiary nieprzygotowane, niemal wyrwane ze snu. Pod tym względem szczegóły zabójstwa najbliższego przyjaciela Fuehrera, kpt. Roehma, pozostaną przykładem metody hitlerowskiej.

I jak bardzo charakterystyczny dla tej taktyki był dzień 7 marca 1936 r., gdy Hitler zapoczątkowaniem serji błyskawicznych uderzeń obudził pogrążoną w pacyfistycznym śnie Europę. /Koniec/

Stanisław Strzetelski

Na Battery Place.

Stańmy, nadpływa okręt. Spójrz jak malowany
Na kolor wód i nieba, pancerzem okryty,
Szron liny opajęczył, pobielił mu ściany,
Po bokach patrzą działa przez ochronne płyty.

Wchodzi teraz do portu, śpieszy się i nagli,
Syreną woła głośno, płynie jak z ekranu,
Wolną drogę mu dajcie! To jest okręt z Anglji,
Emisarjusz tajemny, żołnierz oceanu.

Stoję w tłumie i patrzę i myślę w popłochu
Jak nad zgubą się skradał nigdy nieodgadłą,
Jak omijał zasadzki... I okręt potrochu
Zamienia się w sen mglisty, w nadmorskie widziadło.

Pocztyljonie wolności, podróżą osnuty,
Co wozisz naszą przyszłość, najdroższe transporty!
Podnieś od szronu siwą powiekę kajuty,
Przetrzyj oczy obmarzłe - to przyjazne porty.

Wytchnij tu po przeprawie, odtajaj ze śniegu,
Co jeszcze na pokładzie w podmuchach się wichrzy,
Na ładunek twój czeka wszystko na tym brzegu:
Ogromny świat - i jeden przechodzień najlichszy.

On coś szepce... Gdy będziesz stąd wracał na morza
I kiedy się rozwieje w oddali twój zarys,
Niech wysłucha modlitwy, niech cię wiedzie boża
Aż do progów ojczystych wróżka, Stella Maris.

Kazimierz Wierzyński

Scena z dramatu "D z i a d ó w c z ę ś ć p i ą t a".

/ Jest to fragment jednego z obrazów początkowych, dziejącego się w Teatrze Polskim w Warszawie rano w czasie próby. Na scenie Dyrektor, zajęty próbą, wciąż zapytywany o rozkazy, maszyniści uprzątający scenę z dekoracji poprzedniego dnia. Wchodzi Jan./

Dyrektor.
Jak się masz? Pokaż-że się! Niech Ci się napatrzę.
Ledwo od dwu dni u nas i już dziś w teatrze?
Ani trochę zmieniony! Trochę tęższy! Brawo!
No i cóż? Wciąż nie tęskno za naszą Warszawą?

Jan.
Doprawdy, ile razy stoję na tej scenie
Czuję może jak nigdzie tak proste wzruszenie
Wszak tutaj, co tu skrywać, chodziłem od dziecka
Ta kurtyna, Arnoldzie, jest już staroświecka
A zda mi się to wczoraj te nad Rzymem chmury,
Gdym widział ją raz pierwszy, kiedy szła do góry.

Dyrektor.
Ja tutaj, chwała Bogu, wśród tego hałasu
Nie wspominam, nie czuję płynącego czasu.
Teatr, jak dziennik, ciągle chce czegoś nowego
I czy wiesz, że w tym roku jest nawet dość tego

Jan.
Coś nowego? To znaczy Miłaszewski przestał
Nasze cnoty szlagońskie ciągnąć na piedestał
I ludzi Kiedrzyńskiego nie czuć wreszcie wódką
A wszyscy inni mówią wyraźnie i krótko,
Jak pisarze francuscy, o co w sztuce chodzi.
No więc mów! Gdzież ten nowy Szekspir, co się rodzi?

Dyrektor.
Zaraz Szekspir! Czemużeś taki dla nas twardy,
A czyż Twoje Bernsteiny, Giraudoux, Achardy
W prostej linji z Moljera i Szekspira idą?
U Ciebie w Twym Paryżu, także jedną, z biedą
Sztukę na rok wyłowisz, co może zostanie!

Jan.
Sam widzisz że żartuję. To samo mam zdanie,
Tylko mam głupi nałóg, że wciąż mi się roi,
Jak Poecie w "Weselu", ten Rycerz we zbroi
Faust jakiś czy też Hamlet lecz zupełnie nowy,
Zarazem bardzo ludzki i nasz narodowy.

Dyrektor. Nie chciałbym Ci pochlebiać, lecz powiem: "Czekamy!"

Jan. To nie jest takie proste. My, widzisz, dość mamy
Koturnów romantycznych i cały ten szumny
Nasz teatr patetyczny i greckie kolumny,
Gontyny prasłowiańskie, żórawie wśród tęczy
Któż przeczy, że to wszystko jak pusty dźwięk brzęczy
A jednak...

Dyrektor. . . . . I cóż jednak.

Jan. . . . Ty właśnie pamiętasz
W Krakowie po raz pierwszy na scenie ten cmentarz
Z płóciennych dekoracji, co śmiesznie się chwiały,
Guślarza i te duchy, co z grobów powstały,
Skarżące się na piekło wśród wycia wichury.
I zemsty pieśń młodzieńczą płynącą przez mury
Więzienne i wołanie anioła i czarta.
A potym ten cudowny menuet Mozarta,
Co bólem Cię i czarem zarazem przenika
A później bije piorun i milknie muzyka.

Dyrektor. No dobrze! Lecz właściwie... . . .

Jan. . . . . . Ja także chcę przecie
By u nas było wszystko jak wszędzie na świecie,
By chmur się romantycznych rozpękła kopuła
I Polska swe tragiczne koturny rozzuła,
I kiedy będzie naszej poezji zdrój szumiał
Ażeby go nie tylko sam Polak rozumiał,
Lecz aby świat mógł cały z naszego pić źródła.
Tak myślę - ale wierz mi, nie całkiem wychłódła
Tajemna, wulkaniczna głębina tej ziemi
I nieraz pod beztroską i siłą naszemi
Ja czuję jakieś drżenia podziemne i wróżę,
Że jeszcze będą zmiany w tej polskiej naturze.

Dyrektor. Powtarzam: wracaj do nas! bo marzysz na jawie.
Wiesz co nam jest potrzebne: "Ot! Balzak w Warszawie
Wzrok jasny, który wielkość widzi w życiu wszędzie
W tem co żyje, jest nie zaś w tem tylko co będzie,
Którego tak jak wojna sklep i bank porusza.
Dziesięć lat jest w Paryżu i wciąż mówi "dusza!"
Siedź z nami, patrz na życie, to może Cię skruszy.

Konrad-Józef Węgrzyn. /zjawiając się na scenie/
"Jakto? Więc nie ma duchów? Ten świat jest bez duszy?"

Jan. Słowo ciałem się stało! Józek! I w tej szacie!
Ach, Arnold! Klniesz poezją i grasz "Dziady", bracie!

Konrad-Józef Węgrzyn.
To Schiller Mickiewicza chciał nieco odświeżyć,
Lecz boję się, że sztuka na pysk będzie leżeć.

Dyrektor. Ten człowiek mnie dobija! Że Ci wciąż tak chce się
I to przed nim, co wszystko na miasto rozniesie.

Jan. Ja na miasto? Doprawdy! Co ten człowiek gada!
Ja, który jeden jeszcze w czar teatru wierzę?
I teraz czuję właśnie, że wieczór zapada
Ksiądz stary w swej pustelni ukończył wieczerzę,
Przed Matką Ostrobramską oliwny knot płonie,
Sufler z budki powiedział głośniej jakieś słowo,
Drzwi się z trzaskiem otwarły: To Ty! Irydjonie!
Wchodzisz wlokąc za sobą gałąź choinkową.
Słyszysz! Oto na zamku północ zegar bije
Car rzuca się na łożu i złe widma marzy.
Gustawie! Nie chodź tędy! Nadepniesz na żmiję.
Poznałem Cię odrazu po głosie i twarzy.
Już ostatni się dymi wystrzał z Belwederu
I Nike po ramionach srebrne skrzydła kładzie,
Tylko wpośród jesiennych kasztanów szpaleru
"Do broni"! słyszę głos Twój, Gustawie-Konradzie!
A teraz rampa gaśnie, pusto na teatrze
I, gdy Ty w podłej knajpie pijesz kiepskie wino,
Ja w cień Twój bohaterski ze łzami się patrzę,
Co zwolna się rozwiewa za spadłą kurtyną.

Konrad-Józef Węgrzyn.
Kiepskie wino! Patrzajcie! Jaki mi artysta!
Dawniej dobra bywała Baczewskiego czysta,
Śledź albo żabi kawior, bigos przy bufecie!
Co też to czasem z ludzi robi się na świecie!

Dyrektor. A teraz do roboty! Chcesz na wieczór lożę?

Głosy. Swiatło! Swiatło!

Chłopiec. /podchodzi do Dyrektora/.
. Telefon, panie dyrektorze!

Jan Lechoń.

R e l i k w j e p o b o j o w i s k .

Chętnie przyjąłem propozycję towarzyszenia weteranom Armji Hallera, przybyłym do Paryża, jako delegaci Komitetu Kopca Piłsudskiego, w misji zebrania ziemi z pobojowisk francuskich, na których walczyli również i Polacy. Pielgrzymka taka, jak wogóle każda pielgrzymka, jest - pomimo ciążącej na niej zawsze głębokiej melancholji wspomnień - czemś bardzo krzepiącem.

Wyjechaliśmy prawie o świcie samochodem, prowadzonym przez Francuza-lotnika, który, będąc kolegą po broni jednego z Hallerowskich delegatów, skorzystać chciał z tej sposobności, by również odświeżyć swoje osobiste wspomnienia. Dopiero za Lille skręciliśmy z głównej szosy na boczne drogi, zmierzając w kierunku właściwego celu naszej wędrówki.

Jednocześnie zaczął zmieniać się i krajobraz. Pierwsze cmentarze wojenne - długie, straszliwie długie, jak żołnierze na rewji wyciągnięte w strunę, szeregi krzyży, tragicznie wymowne swoją monotonną jednostajnością. Cała armja wielotysięcznych krzyży, zastygła w pozycji na "Baczność!" przed Smiercią, zwierzchnią władzą swoją. Mijamy oficjalne pomniki, tablice z napisami, starannie utrzymane grzędy kwiatów...- na każdym kroku jakieś wspomnienia bolesne. Ale oczy tylko Krzyż widzą, ten wciąż

i niezliczone razy powtarzający się w plastycznym rytmie symbol Męki. Zbieramy w najpobożniejszem, bo milczącem skupieniu grudki tej ziemi cme[ntarnej] - bezimienną relikwję wojenną, oprawioną w skrzące się promieniami słonecznymi krople rosy.

Jesteśmy na linji frontu. Sterczący w górę kadłub strzaskanego czołgu, bielejący z pod zielonego poszycia zręb okopu, rozwłóczone po ziemi strzępy kolczastego drutu - zniszczone dekoracje, porzucone rekwizyty na zdawna już opustoszałej scenie koszmarnego teatru wojny. Odżywają wspomnienia... Iluż żołnierzy zmiażdżyłeś, czołgowy potworze, zanim celny pocisk armatni zdołał rozpruć twoje straszliwe cielsko stalowe?! Ile trupów, gorączkowo chowanych pod gradem kul w twoje sypkie ściany kr[e]dowe, kosztowało budowanie ciebie, błotnisty okopie słynnej Szampanji "zawszonej"?! Ile łez i krwi przelali ranni, kiedy, w śmiertelnej jęcząc męce, nieskończenie długie dnie i noce, samotni, konali na twoich ostry[ch] cierniach, zdradliwy drucie kolczasty?! - Dziwnie ciążą nam przy zbieraniu grudki wilgotnej ziemi - zdaje nam się, że dotykamy rękami nie ścian wapiennego okopu lecz śmiertelnego całunu iluż prawdziwie nieznanych żołnierzy...

Pobojowiska i cmentarze powtarzają się, wprowadzając nas niesamowitą identycznością swojego wyglądu w dobrze mi znany stan bolesnego otępienia. Pamiętam, że obawiałem się, przed wyjazdem na front, zetknięcia się z pierwszym trupem, traf jednak zrządził, że obejmując wiosną 1915-go roku posterunek obserwacyjny, musiałem przejść przez słynne płaskowzgórze Notre-Dame-de-Lorette, które było zasłane taką masą trupów, że stępiło to zupełnie ostrość bezpośredniego spotkania się z grozą śmierci

Do tej ponurej ale doskonałej w swojem sharmonizowaniu całości tragicznej poczęły coraz częściej wdzierać się zgrzyty: na tle bohaterskiego krajobrazu poczęły coraz częściej zjawiać się wielkie auto-car'y Cook'a, obwożące stada turystów po "Battle fields of Champagne". Jakiś drab, stojący blisko szofera, wykrzykuje po angielsku i po niemiecku,historyczne nazwy bitew, rzuca krociami zabitych, sypie tonnami pocisków. Słuchają cierpliwie lecz z wyraźnie znudzonemi minami karykaturalnie prawdziwi wycieczkowicze cudzoziemscy - ich wielkie okulary, grube cygara, kratkowane ubrania, czerwono Baedeckery są wprost klasycznie stylowe Tę publiczność interesują nie pobojowiska, choćby najbardziej krwawe i największą sławą okryte, ale oberże tuż obok znajdujące się. To jest właściwy cel ich wycieczki, bo stąd wysyłać mogą tuziny "widokówek" dla pochwalenia się przed przyjaciółmi; tu wytargować mogą autentyczne /?/ pamiątki wojenne - od stalowych kasków do mundurowych guzików, zależnie od sumy; w takiej oberży wysłuchać mogą melodramatycznych opowiadań, recytowanych, za drobną opłatą, przez "uczestników"/?/ bitwy... Tu kwitnie, na historycznych pobojowiskach wyrosły, swoisty przemysł turystyczny. "A są głupcy, którzy twierdzą,że wojna się nie opłaca!", rzuca uwagę złośliwy major G.

Powrotną drogę odbywaliśmy w milczeniu - jeden przed drugim ukrywaliśmy osobiste przeżycia dnia. "Jak to przyjemnie jest pomyśleć, że to należy do dalekiej przeszłości, bezpowrotnej przeszłości", westchnął z wielką ulgą nasz francuski towarzysz pielgrzymki. Tak się mu wydawało w 1934-ym roku...

Zygmunt St. Klingsland

"S z c z e n i a k i !...."

Ostatni dzień w Warszawie. Ostatnie godziny, w które chce się zmieścić wszystko co nie było powiedziane, tyle niepowiedzianych rzeczy. Ostatnie minuty ważne, jak wieczność i prędkie jak strzał.

Było popołudnie. A gdzieś tam o północy miał odchodzić pociąg d[o] Krakowa, którym miałam wyjeżdżać z Polski. Bezpośrednia linja Warszawa-

-Wiedeń była zarezerwowana tylko dla uprzywilejowanych członków Herrenvolk'u.

Szłyśmy Nowym Swiatem, Joanna i ja, i miałyśmy te ostatnie parę godzin już tylko dla siebie. Ostatnia wizyta pożegnalna była już odbyta; wszystkie formalności przebrnięte, łapówki popłacone uczciwie, przepustki i pozwolenia z Gestapo, z magistratu, z krakowskiej centrali Generał-Gubernatorstwa, otrzymane. Fotografje z Warszawy i materjały organizacyj ne były w walizce, która już szczęśliwie była zrewidowana, opieczętowana i zamknięta przez Niemców.

Szłyśmy wolno, nie patrząc na kikuty rozwalonych domów znane na pamięć, znane lepiej niż dawna ulica. Nad ziejącą dziurą wejścia do kupy gruzów ostał się dawny srebrny napis:"SZUKASZ SZCZĘSCIA - WSTĄP NA CHWILĘ!" jeden z tych paradoksów warszawskich, które były może prawdziwe. Wiedziałam, że jadąc zostawię za sobą coś czego mi żaden inny kraj i żadne inne życie nie da.

-Zobaczysz Ojca... -powiedziała Joanna.

Żal mi skoczył do gardła, że muszę ją tu zostawić, o tyle bardziej wrażliwą, o tyle żarliwszą ode mnie, dławiącą się w Warszawie,gdy ja jadę w szeroki świat nieogrodzony karabinami, w świat, w którym można oddychać. Spojrzałam na nią ukradkiem z goryczą o tę jej promienną,niebieskooką, warkoczową dziewczęcość skazaną na te gruzy naokoło i na te srebrne napisy:"Szukasz Szczęścia?..."

Szła tuż koło mnie, prosta i krzepka, bardzo młoda w swoim kożuszku, w chusteczce z pod której spadały na plecy długie warkocze.

Żachnęła się nagle. Usłyszałam śmiech. Obejrzałam się. Dwóch żołnierzy niemieckich szło za nami. Jeden z nich żartobliwie pociągnął chusteczkę Joanny. Smieli się do nas przyjacielsko i niegroźnie.

-Psiakrew! -powiedziała Joanna.- Wejdźmy gdzieś. Muszę z tobą mówić.- Weszłyśmy do najbliższej cukierni Bliklego.

-Zamów dla siebie dwa ciastka - powiedziała wspaniałomyślnie Joanna. - Ja płacę.-

Zamówiłam i objadałam się niemi po prosięcemu. Joanna patrzała przez chwilę pobłażliwie, starszosiostrowo. Potem znów powiedziała:

-Zobaczysz Ojca... -

Zwolniłam tempo i spojrzałam z mieszanemi uczuciami psa nastawiającego uszy na nowy dźwięk.

-Nie mogę do niego pisać -mówiła Joanna - Ale tęsknię do niego bardzo i chcę, żeby coś o mnie wiedział...-

Zdziwiłam się. Pierwszy raz słyszałam Joannę mówiącą o jakiejś swojej tęsknocie.Była skryta i chodząca własnemi prostemi drogami.

-Powiedz mu -mówiła Joanna- powiedz mu o naszem życiu tutaj. I że damy sobie radę. Niech się nie martwi. Powiedz mu dlaczego wróciłam do Warszawy dopiero w miesiąc po tobie. Że miałam ważną pracę na wsi.

Szło wolne, ciche opowiadanie, które słyszałam pierwszy raz. Pół słowa dające pełną treść zdarzeń. Zorganizowana praca w terenie. Zbiórka broni po chatach, po polach, od żołnierzy wracających. Smarowanie, owijanie,zakopywanie w poznaczonych miejscach, do użytku kiedyś. Rozciąganie sieci organizacyjnej od wsi do wsi, od chaty do chaty.

-Raz o mało nie wpadłam -mówiła spokojnie Joanna.- Wzięli trzech podejrzanych osadników z mojej wsi. Zbili ich do krwi, do nieprzytomności. Potem kazali jednemu z nich,Franciszkowi, kopać dół dla samego siebie. Gdy wykopał znojnie w twardej, listopadowej ziemi, zawiązano mu oczy, postawiono nad dołem. Głos plutonowego szczekał mu komendy nad uchem powoli,z rozmysłem. Franciszek słyszał szczęk przerzucanych karabinów w rękach żołnierzy. Stał w przepoconej od kopania koszuli,z rozkrwawioną twarzą, szczękając zębami z zimna i ze strachu. Zaczął mówić głośno "Kto się w opiekę",rwącym głosem...Ostatnia komenda nie padła. Franciszek urwał modlitwę. I słuchał, nie widząc.

-"Spocznij!" rozkazał plutonowy.

Znowu gruchotliwy szczęk broni. Kilka przerzuconych śmiechliwych zdań. Krótki, suchy zgrzyt potartej zapałki. Po kilkunastu minutach znów serja rozkazów. I znowu bez tej ostatniej komendy: "Pal!"

Dręczyli go tak trzy godziny. Wreszcie puścili go do domu. Nie mieli konkretnych dowodów przeciw niemu, a nie chcieli rozdrażniać do ostateczności okolicy i tak podminowanej ostatnią masową egzekucją.

Ale nachodzono chatę Franciszka regularnie i grożono. Nastraszyli go tak, że mało nie wygadał wszystkiego co wiedział. Osiwiał przez te trzy godziny przestane nad własnym grobem z zawiązanemi oczami, przez te dni nocnych najść, pytań i bicia.

Wtedy się kółko zaciskało naokoło mnie. Może i coś wygadał, nie wiem. Nie używaliśmy go więcej. Ale aresztowali Mańkę, która była moim łącznikiem. Dotąd siedzi... Powiedz Ojcu, że myślałam o nim wtedy, że byłby rad ze mnie i z mojej pracy. Jeśli zapyta czy się bałam, powiedz, że się bałam. Ale wytrzymałam.-

Nagle naszła na mnie instynktowna pewność, że ktoś na nas patrzy i że ktoś nas słucha. Poprzez okrągły marmurowy blat stolika wyciągnęłam rękę do Joanny i powiedziałam, że zaczyna szarzeć i że zimno na ulicach i że chodźmy może do domu. Zamilkła natychmiast. Rozejrzałyśmy się naokoło uważnie. Patrzałam w prawo, poza kolumną, na dymiącą futrami salę. O dwa stoliki jakichś trzech Niemców w nieznanych mi mundurach. Tuż niedaleko nas ziemiańska rodzina w szubach i szalikach. Dwóch studentów dyskutujących Maritain'a... Spojrzałam na Joannę, nieco upewniona i zdziwiona, że mnie tak speszyła tak nagła, niedorzeczna świadomość czyjejś napiętej uwagi przyklejonej do naszego stolika. Ale w oczach Joanny zobaczyłam, że jednak miałam rację. Obejrzałam się lekko, raz jeszcze, w stronę kuchennego wyjścia, niedaleko którego stał nasz stolik. I wtedy zobaczyłam ich. Tuż przy ścianie, przy małym, okrągłym stoliku, takim jak nasz, przedzielonym od nas tylko wąskiem, kelnerskiem przejściem. Siedziało ich tam dwóch, w niewyraźnych, nie do zapamiętania paltach i z niewyraźnemi, nie do zapamiętania twarzami. Jeden z nich popijał swoją szklankę herbaty małemi, wolnemi łyczkami. Drugi siedział sztywno, z nogami wyciągniętemi daleko poza stolik, z rękami w kieszeniach, przyciskając łokciem "gadzinówkę" na stoliku i patrząc na nas upartym, trudnym do odparcia wzrokiem, z kamiennym wyrazem oczu.

Spojrzałam znów na Joannę i widziałam, że myśli o tem samem: "Gestapo czy nie? Czy słyszeli? Cóż za idjotki z nas, żeby mówić o takich rzeczach w cukierni!.."

-Skończmy nasze ciastka i chodźmy - powiedziałam.

Wiedziałam, że toby wyglądało zanadto nienaturalnie, gdybyśmy zostawiły ciastka niedojedzone. Łykałam z wysiłkiem słodkie okruchy, nagle bez smaku. Nie mogłyśmy wymyślić żadnego tematu rozmowy. Siedziałyśmy milcząc i czekając.

Nieznany człowiek patrzał na nas przez chwilę tym samym kamiennym, upartym wzrokiem, jakby nie widzącym, ale przeszywającym na wskroś. Dopił jednym łykiem resztki herbaty w szklance i wstał od stolika. Zgarniał swoją "gadzinówkę" wolnym ruchem. Jego towarzysz nie podniósł oczu. Stężałyśmy w naprężeniu. Szedł ku przejściu, ku naszemu stolikowi. Patrzał wprost przed siebie, nie na nas, wcale nie na nas. I gdy nas mijał przechodząc tak blisko, że dotykając połą płaszcza mego płaszcza, powiedział wyraźnym szeptem, nie otwierając niemal ust:

-Szczeniaki!... -

Był tam gniew i coś jakby rozrzewnienie. Spojrzałyśmy po sobie i uśmiechnęłyśmy się. Podniosłam rękę przeszłoletnim, odruchowym gestem i przeżegnałam się.

Marta Łużycówna

Wiadomości o kulturze polskiej.

Prasa polska o naszej pracy.
W jednym z dzienników polsko-amerykańskich /"Wiadomości Codzienne",27.I 42/ znaleźliśmy artykuł p.t. "O wykorzystanie jedynej okazji". Tezą artykułu jest, że "wojna wytworzyła dla Polonji amerykańskiej jedyną okazję wykorzystania szczerych, cennych i istotnych polskich talentów". W związku z tą tezą musimy przytoczyć to co dziennik ten napisał o naszym wydawnictwie: "Gorzej przedstawia się sprawa z literatami i artystami. Poza wykorzystaniem artystów scenicznych dla imprez ściśle widowiskowo-handlowych nie dano prawdziwej pomocy artystom plastykom, ani literatom, aby rozwijać swą twórczość i podtrzymać przez to znicz kultury narodowej. Ostatnio naprzykład grono pisarzy z Polski poczęło wydawać biuletyn literacki dla prasy polsko-amerykańskiej i dla indywidualnych czytelników, zawierające prace prozą lub wierszom pisane. O ile się nie mylimy, bodaj tylko dwa, względnie trzy pisma zdobyły się na zaabonowanie tego biuletynu tygodniowego. Indywidualnych prenumerat też nie zdobyto wiele. A przecież często pisze się o walorach kultury polskiej, o konieczności zachowania jej i podtrzymania". Tyle "Wiadomości Codzienne", a więc nie my,lecz prasowy organ miejscowy. Mimo to wierzymy, że po początkowych trudnościach zdołamy do naszej pracy przekonać tutejsze społeczeństwo polsko-amerykańskie, jedyne, które dziś może mecenasować sztuce i kulturze polskiej.

Plany literackie Lechonia.
Znakomity poeta polski Jan Lechoń, który wiele lat mieszkał w Paryżu,propagując wśród Francuzów sztukę i kulturę polską,przebywa obecnie w Nowym Yorku, poświęcając się wyłącznie pracy literackiej.
Ukazały się już - lub w tych dniach ukażą się w Londynie równocześnie dwa tomy Lechonia. Tom prozy obejmować będzie wykłady Lechonia o literaturze polskiej, wygłoszone w Uniwersytecie Polskim w Paryżu,zorganizowanym w pierwszym roku wojny jako protest przeciw zamknięciu wyższych szkół w Polsce przez Niemców;tom wierszy p.t."Lutnia po Bekwarku"oczekiwany jest -jak każda zapowiedź nowego tomu jego poezji- z niecierpliwością przez wszystkich miłośników literatury pięknej.
Z rzeczy będących na warsztacie pisarza wymienić należy dwie książki: "Polska Wolność" i "Pieśniarze i prorocy".Pierwsza pozwoli czytelnikowi amerykańskiemu zorjentować się w duchu dziejów Polski i w osiągnięciach i dążnościach kultury polskiej, druga zaś będzie próbą udostępnienia Amerykanom naszej literatury. Prawdopodobnie Polacy amerykańscy będą pierwsi, którzy czytać będą nową powieść Lechonia p.t."Bal u senatora", rodzaj powieści obyczajowej z współczesnego, a raczej przedwojennego już życia polskiego i francuskiego. Pisarz jest już w połowie swej powieści. Jakby dla całkowitego zadania kłamu staremu powiedzeniu, że "inter arma silent musae"- w wolnych chwilach od wyżej wymienionych prac Lechoń,stale cyzelujący jak jubiler swe utwory przed oddaniem ich do druku,wykańcza swój dramat p.t."Wolny Konrad".

Odcinki powieściowe w dziennikach.
W prasie polsko-ameryk. króluje Sienkiewicz: trzy dzienniki równocześnie drukują w odcinkach dzieła Sienkiewicza: "Dziennik Chicagowski" i "Nowiny Polskie" - POTOP, a "Dziennik Polski" - KRZYŻAKÓW."Wiadomości Codzienne" dają swym czytelnikom A.Struga ŻÓŁTY KRZYŻ, "Dziennik Związkowy"zaś jedyną w prasie amerykańskiej nowość Jerzego Pietrkiewicza "PO CHŁOPSKU" Dziennik nowojorski "Nowy Świat" zapowiada powieść M.Rodziewiczówny "POŻARY I ZGLISZCZA". Inne tytuły są takie:"Nieboszczyk się żeni","Czyje dziecko", "Jan III Sobieski czyli Slepa Niewolnica", "Siedem Grzechów Głównych", "Porwana w noc poślubną czyli Dzieje miłości i cierpienia", "Porwane dziecię, powieść fantastyczna z życia cyganów".